

Mój powojenny, subiektywny Trzciel

Od zakończenia II wojny światowej minęło już sześć dziesięcioleci. Ze sceny schodzi pokolenie ludzi wówczas bardzo młodych – dzieci. Należę do nich.

Poznajemy dzieje wcześniejszych pokoleń, chcemy więc, by i po nas pozostała wiedza w miarę wyczerpująca i obiektywna. Paradoxem jest to, że o Trzciel i okolicach mamy sporo wiadomości do roku 1945, a niewiele i to bardzo kontrowersyjnych o drugiej połowie minionego wieku. Ukazała się cenna monografia *Trzciel – studia z dziejów miasta* pod red. Marcelego Tureczki, w której jednak nieobiektywnie opisano lata 1945-1989. Rzeczywistość przedstawiona w tej części jest inna od tej, jaką ja, świadek tamtych czasów, zapamiętałem. Na końcu monografii zamieszczono wspomnienia trzcielan. To mądre i zgodne z prawdą treści. Szkoda tylko, że tak krótkie. I to ich autorzy zainspirowali mnie do pisania. Postanowiłem sięgnąć do swoich wspomnień, co dla starszego człowieka jest dobrą okazją do spokojnej refleksji nad odległymi sprawami i swoim w nich udziale. To też okazja do przypomnienia przyjaciół, a także spotkanych wówczas zacnych ludzi.

Jestem prawie trzcielaninem. Prawie, ponieważ urodziłem się w odległym zaledwie o 5 kilometrów Miedzichowie. Okupację przeżyłem 20 km dalej, w Zębowie, miejscu pochodzenia mojej mamy, gdzie do dzisiaj mieszka nasza liczna rodzina.

Do Trzcienia przenieśliśmy się w kwietniu 1945 r. Do końca lat 70. mieszkała tu moja mama. Pięć lat wcześniej (1974), na „starym” cmentarzu (jak się mówiło „za torami”), pochowaliśmy ojca. I tam, odnajdując ślady wielu moich znajomych z czasów młodości.

1. Ucieczka, wysiedlenie i wypędzenie Niemców ze Stadt Tirschtiegel

Niemieckie formacje militarne i administracja zostały wyparte z miasta przez żołnierzy Armii Czerwonej, na przełomie stycznia i lutego 1945 r. Przed wycofującym się Wehrmachtem i zbliżającym frontem, Trzciel opuściła większość cywilnych mieszkańców. Ich ucieczki nie widzieliśmy, nas tu wówczas jeszcze nie było.

W pamięć zapadła mi natomiast ucieczka Niemców w styczniu 1945 r., widziana w Zębowie. To był przejmujący obraz. Mróz co najmniej -20°C. Przez wieś ciągnęły dziesiątki wozów konnych. Niosło się daleko skrzypienie kół na zmrożonym śniegu. Wozy załadowane dobytkiem, powożone przez polskich parobków, na nich kobiety i dzieci. Po dwóch, może trzech dniach woźnice wracali pieszo, w odwrotną stronę, opuściwszy swoich „pracodawców”. Wrócił także mój kuzyn.

Gdy sprowadziliśmy się do Trzcienia, w mieście pozostali jeszcze nieliczni niemieccy cywile. Wysiedlano ich latem 1945 r. Opuszczali miasteczko przegrani. Do tego nie mieli możliwości zabrania całego dobytku, brakowało środków transportu. Akcją przeprowadzało wojsko. Nie zapamiętałem zdarzeń drastycznych, ale nie było też z naszej strony specjalnego współczucia, raczej obojętność. Zbyt świeża pozostawała pamięć doznanych krzywd. W kręgu naszych znajomych trudno było znaleźć rodzinę, która nie straciła bliskich. W naszej, w Powstaniu Warszawskim, zginęło trzech mężczyzn: wuj Michał Błaszczak (zawodowy wojskowy, piłsudczyk) i jego dwaj synowie (19 i 21 lat).

Wojna w niewielkim stopniu okaleczyła miasto. Zniszczony został pałac i sąsiadujący budynek, a także most na Czarnej Wodzie. Kościół ewangelicki parę lat później rozebrali Polacy. W dobrym stanie technicznym zachowały się budynki, ale większość wymagała remontu. Była linia kolejowa, niezłe jak na tamte czasy drogi, sieć energetyczna (w mieście) i niewielka gazownia, ale chyba tylko do celów oświetleniowych.

Po działaniach wojennych pozostał cmentarzyk czerwonoarmistów, usytuowany w środku Nowego Rynku. Istniał przez parę lat, później prochy żołnierzy przeniesiono na cmentarz wojenny w Międzyrzeczu.

2. Nowi mieszkańcy

Trzciel zaludniali przybysze z Wielkopolski i Kresów Wschodnich przedwojennej Polski, głównie Tarnopolanie. Kilka polskich rodzin pozostało w mieście, pracowali tu w czasie wojny lub zostali zesłani. Pojawili się również „szabrownicy”, wywożąc wszystko, co miało jakąś wartość. Słaba jeszcze administracja i zupełnie nieprofesjonalne służby porządkowe nie radziły sobie z tą plagą.

Nowi trzcielanie – przybysze z Wielkopolski (pyry, poznanioki), zajmowali domy, których nie mieli w rodzinnym miejscowościach. Spodziewali się znaleźć tu szanse na godne, spokojne życie. O wyborze Trzciela decydowała ówczesna sytuacja polityczna, nie można było przecież wykluczyć konieczności opuszczenia miasta, a stąd droga ucieczki była krótka.

Wśród osiedleńców byli ludzie niezbędni do funkcjonowania miasta: kolejarze, rzemieślnicy, handlowcy, drogowcy, nauczyciele i urzędnicy. Zasiadali domy, mając jeszcze na początku możliwość ich wyboru. W niektórych z nich znajdowali wyposażenie. Przybywali głównie z zachodnich powiatów Wielkopolski: nowotomyskiego i międzychodzkiego. Znaleźli w mieście warunki podobne do tych, w jakich żyli dotychczas. Sporo wiedzieli o swoich dawnych sąsiadach. Ich poziom cywilizacyjny był zbliżony do poprzednich mieszkańców: rzemieślnicy stosowali te same metody wytwarzania; rolnicy podobne sposoby gospodarowania; warunki klimatyczne i przyrodnicze były dokładnie takie, w jakich żyli dotychczas. Wybierali Trzciel na miejsce nowego życia niezależnie od wykonywanego zawodu, również rolnicy. „Pyry” zajęły większość gospodarstw rolnych w samym mieście, znajdując w nich urządzenia i potrzebne maszyny.

W kilka tygodni po „poznaniokach”, do Trzciela i sąsiednich wsi dotarli wysiedleńcy i uchodźcy ze Wschodu – głównie z województwa tarnopolskiego, z powiatów Buczacz i Trembowla, a także innych miejscowości dorzecza Dniestru. To tereny położone od nas ponad tysiąc kilometrów, z odmienną kulturą Wschodu. Ludzie ciężko doświadczeni podczas wojny i okupacji, zarówno przez Niemców, jak i bandy ukraińskie. Zostawili na wschodzie prawie wszystko, podobnie jak tutaj Niemcy. Jedni i drudzy stracili majątek – dorobek całych pokoleń. Tragedią polskich rodzin było dodatkowo rozdzielanie, część z nich związana małżeństwem musiała tam zostać. Jedni w Trzcielu, drudzy na Wschodzie.

Zabużanie dotarli potwornie wymęczeni wielotygodniowym transportem, w niewyobrażalnie trudnych warunkach. To nie oni decydowali o zamieszkaniu właśnie w Trzcielu lub sąsiednich wsiach. To nie ich wybór, ale wskazanie losu. Po latach można powiedzieć, że zaakceptowali swoją nową małą ojczyznę, niewiele bowiem rodzin później stąd wyjechało. Zasiadali wolne jeszcze domy i mieszkania w mieście, ale głównie gospodarstwa rolne w sąsiednich wsiach. W niektórych byli prawie w komplecie, tak jak na Wschodzie. Zastali już gospodarstwa pozbawione wyposażenia. Mieli tylko te zwierzęta, które udało im się przywieźć, kupić ich nie było od kogo, ani za co. Przywiezione krowy przez długi czas pełniły rolę jedynek żywicieli rodziny, a siłę pociągową stanowiły konie. Było ich mało, sytuację ratowały dostawy tych zwierząt w ramach pomocy UNRRA.

Repatrianci ze Wschodu przywieźli ze sobą inne doświadczenia w uprawie roli. Tam warunki były zdecydowanie odmienne: dłuższy okres wegetacji, bardziej kontynentalny klimat. Nad Obrą otrzymali lekkie piaski, podmokłe łąki i pastwiska. Na domiar złego wylewały rzeki, powodując podtopienia gruntów. Powtarzało się to dwa razy w roku – bardzo wczesną wiosną i tzw. świętojką (czerwiec). Woda zalewała nawet ulice miasta, m.in. przy młynie, bo podtapiała też Zimna Woda.

Ze zdziwieniem zauważałem, że w małych gospodarstwach zboże zbierano sierpami. Myślę, że powodem był nie tylko brak innych narzędzi, ale też wielka troska o wykorzystanie każdego kłosa, a obok tego przywiązanie do tradycji. Zabużanie szybko przystosowywali się do nowych warunków. Każdy rok przynosił zmiany i po paru latach nie istniała już

różnica w sposobie gospodarowania rolników przybyłych ze Wschodu i Zachodu.

3. „Kaczmarki” i „Świerzki”

W pierwszych latach współistnienia między zabużanami a poznaniakami wyczuwało się dużą nieufność. Były to społeczności hermetyczne; nie dochodziło do „mieszanych” małżeństw. Jednak jedni i drudzy, w tak niedużej miejscowości byli na siebie skazani. Nie dało się żyć bez kontaktów. Atrakcją ówczesnych czasów były zabawy ludowe. Odbываły się w hali sportowej lub w parku przypałacowym. Przy takiej okazji dochodziło do „konfrontacji” przy użyciu drobnych sprzętów, chociażby krzesel. Nie pamiętam jednak, aby strony czyniły sobie większą krzywdę. To była stosownie do miejsca „sportowa rywalizacja”. Zresztą organizatorzy tańców (była to z reguły straż pożarna) mieli skuteczny sposób reagowania na „bitników”. Na ulicach czasem dochodziło do rękoczynów pomiędzy młodymi ludźmi, ale głów sobie nie porozbijano. Zatargi szybko szły w niepamięć.

Szkoła mogła być platformą integracji nieufnych do siebie grup, nie odgrywała jednak większej roli. Niektóre nauczycielki, nie były w stanie temu sprostać i dzieliły uczniów na swoich i tamtych. Skuteczniejszy był Kościół. Ludzi zbliżał do siebie ksiądz Jan Myszk. Pół wieku po jego odejściu mogę powiedzieć, że nie spotkałem człowieka, który tak jak on potrafił skupić wiernych wokół Kościoła.

Trzeba jeszcze wspomnieć o najpóźniej przybyłych do miasta emigrantach z Francji. Oni „pasowali” do wszystkich. Przyjęto ich bez zastrzeżeń i od początku zaakceptowano.

O swarach i uprzedzeniach najszybciej zapominała młodzież. Jednoczyła nas ciekawość innych ludzi, sport, zabawa, ministrantura, wspólne przebywanie w szkole. Nie pamiętam przypadku, by ktoś skoczył za kimś w ogień. Mam jednak dowód, że w wodę, dla ratowania tonących – skakano. Zapamiętałem takie zdarzenie, gdy kąpałiśmy się w Obrze przy kładce (teraz jest tam most na obwodnicy miasta). W pewnym momencie porwał mnie wir, topiłem się. Natychmiast pospieszył mi na pomoc Józiu Halczuk. Uratował mi życie. Od paru lat Józek nie żyje, ale ja o nim pamiętam, także o jego rodzicach i braciach. On „wschodni” – ja „zachodni”, a ryzykowałem życie. Wdzięczny, chodzę często na Jego grób.

Minęło kilka lat, zanim nieufność Kaczmarków do Kurysiów, Świerzków zastąpiła sąsiedzka akceptacja. Gdyby postawić pytanie – kto na integracji trzcielan skorzystał? Odpowiedź byłaby prosta: wszyscy! Być może więcej pożytku odnieśli zabużanie, bo lepiej, że są tu, niż mieliby żyć w granicach dzisiejszej Ukrainy. Czemu zagraża integracja? Na pewno gwarze jednych i drugich, sposobowi wymowy i akcentowania. Mam nadzieję, że zespoły ludowe uchronią obrzędy i zwyczaje ludowe.

Gdy teraz wspominam tamte lata i wzajemne poznawanie się, i przyjaźnie, ja – od 1961 r. mieszkaniec Zielonej Góry, zadaję sobie pytanie – dlaczego przez dziesiątki lat nie mogą znaleźć wspólnego języka zielonogórzanie z gorzowianami? Przecież w Trzcielu to się udało i dlatego znaczną część swoich rozważań nt. trzcieliskiej społeczności poświęcam integracji. To co się tam, w tej sferze stało, jest najważniejsze. Warto to było przeżyć, a teraz opisać.

A jaka była atmosfera w tamtych latach? Strach przed kolejną wojną, ale też radość z przeżycia okupacji. Na pewno był to czas wielkiego optymizmu. Wolny, świąteczny czas spędzało się w grupie, z rodziną i sąsiadami, na których pomoc zawsze można było liczyć. Dzielono się tym, co kto miał – warzywami, owocami, a także pyszną kaszanką i pasztetową ze świeżo ubitego wieprzka. Mielśmy świadomość, że jesteśmy biedni jak myszy kościelne, a nasze swobody są mocno ograniczone. Jakie to miało jednak znaczenie wobec tego, co było już poza nami. Ważne, że mieszkaliśmy w Polsce.

4. Szkoła

To było coś osobliwego. Uczniowie rozpoczynający naukę w 1945 roku, mieli od 8 do 15 lat i właściwie wszyscy nadawali się do pierwszej klasy podstawówki. Dlaczego? Wcześniej po prostu do szkoły nie chodzili, trwała wojna. W Generalnej Guberni obowiązywało niemieckie prawo wykluczające naukę w języku polskim. To prawo nakazywało natomiast nauczanie Polaków w języku niemieckim, po ukończeniu 10 lat.

Mając ukończone 9 lat, poszedłem do szkoły po raz pierwszy, na szczęście już polskiej. W przeciągu trzech i pół roku odbyłem całą 7-letnią edukację na poziomie podstawowym. Efekt nie mógł być najlepszy. Dochodziły do tego kiepskie kwalifikacje wielu

nauczycieli, wywołujących więcej zamętu niż pożytku, ale przecież nie miał ich kto zastąpić. Byli też wspaniali pedagodzy, mile wspominam panią Wasilewską, panów Demutha i Wagnera. Do tego wszystkiego potworna ciasnota i tłok. Cała szkoła mieściła się w jednym budynku, przy ul. Mickiewicza. Niektóre zajęcia odbywały się też w budynku poszpitalnym, przy ul. Armii Czerwonej. Brakowało podręczników i zeszytów.

Językiem obcym w mojej klasie był francuski. Nauka niestety trwała tylko parę miesięcy. Lektorka francuskiego nie była pedagogiem, ale sympatyków tego języka zyskała sporo. Większość z nas pewnie pamięta do dziś *Ojczce Nasz* i *Marsyliankę* po francusku.

Kończąc w roku 1950 trzcielską Szkołę Podstawową, ze względu na jej niski poziom, na egzaminach wstępnych do szkół średnich wyraźnie przegrywaliśmy z absolwentami innych podstawówek. Mój rocznik miał zamkniętą drogę do ogólniaka w Międzyrzeczu. Całą grupą wyładowaliśmy w Krośnie. Mieliśmy spore luki edukacyjne. Katastrofą dla mnie i paru przyjaciół był język rosyjski. Nie nauczono nas tego języka w podstawówce.

Już w latach 60. sytuacja szkoły i młodych ludzi w Trzcielu znacznie się poprawiła. Spóźnione roczniki poszły w świat, kadra nauczycielska została niemal w całości wymieniona, a na miejscu zniszczonego pałacu stanęła nowa szkoła. W jej powstaniu najbardziej zasłużył się kierownik szkoły, Franciszek Dybowski. Mój Ojciec był przewodniczącym komitetu budowy; otrzymał za to Srebrny Krzyż Zasługi. W tamtych czasach absolwenci opuszczali naszą szkołę dobrze przygotowani. Również moja młodsza siostra bez problemów dostała się do nowotomyskiego ogólniaka, a później na Uniwersytet im. A. Mickiewicza.

Uczyliśmy się też gry na fortepianie, co było wtedy dużym snobizmem. Lekcji udzielał organista-muzyk, opłatę za godzinę stanowił bochenek chleba. Efekt mojej edukacji nie był wysokich lotów, nie gram, ale lubię słuchać dobrej muzyki.

Skoro piszę o szkole, to wspomnę o starszych, którzy nigdy do żadnej szkoły nie uczęszczali. Analfabetyzm był faktem i dotyczył naprawdę niemałej grupy naszej społeczności. Pamiętam zażenowanie tych ludzi, gdy trzeba było coś podpisać, stawiali krzyżyki. Żal było patrzeć.

Zabawy i rozrywki uczniowskie były stosowne do czasu, po prostu siermiężne, wiążące się z minioną

wojną. Hitem były detonacje prochu wsypanego do rurki lub klucza, albo wybuchy szarego, miękkiego metalu (chyba saletry). Byli w naszym gronie mistrzowie w strzelaniu z procy i łuku. Dziwne, ale chyba nikt w mieście nie stracił palców ani wzroku. Byliśmy szczęśliwcami.

Pierwszych emocji sportowych po wojnie doświadczyliśmy, gdy przy szkole budowanej zawiązała się drużyna piłkarska. Gościły u nas drużyny z Wielkopolski. To były niebывale zacięte, wyrównane mecze, zdarzały się autentyczne sukcesy naszych piłkarzy.

Wszyscy młodzi ludzie umieli pływać, w pobliżu były jeziora z czystą wodą, plaża, trampolina, ławki, szatnie. Popularne było wiosłowanie kajakiem, łodziami i innym sprzętem (balią, gdy Obra wylała). Organizowaliśmy kilkudniowe spływy kajakami w górę rzeki, spanie w szałasach, podkradanie śmietany chłodzonej przez gospodynie w strumykach, dopływających do jeziora Lutol.

Zawzięcie graliśmy w tenisa stołowego. Zimą ślizgaliśmy się na łyżwach i innych łyżwopodobnych sprzętach. Była jazda po jeziorze i zamierzniętych rozlewiskach Obry. Sprawność fizyczną wykazywaliśmy wszyscy, bo sportem trzeba było się zajmować z braku innych rozrywek. Gorzej było ze sprawnością intelektualną. To odwrotnie niż teraz, młodzież ma więcej wiadomości, a sprawność fizyczną mizerną. Wszelkie sukcesy trzecielań na arenach krajowych i międzynarodowych przyszły na przełomie lat 70. i 80. Sławią nas sportowcy w dyscyplinach indywidualnych.

5. Kościół

Kościół rzymskokatolicki w latach powojennych odgrywał pierwszoplanową rolę. Ludzie, niezależnie skąd przybyli, demonstrowali przywiązanie do religijnej tradycji. Katolicy rzymscy byli prawie jedyńymi na tym terenie. Dziwne, ale wśród przybyszów ze Wschodu nie było rodzin wyznania grekokatolickiego. W kręgu naszych znajomych tylko jedna rodzina należała do Kościoła ewangelickiego i na pewno nie spotkały jej z tego powodu przykrości.

W dni świąteczne, trzecielski kościół pw. św. Wojciecha zawsze zaludniał się po brzegi wiernymi. Plac wokół świątyni zajmowały furmanki, stanowiły wówczas podstawowy środek lokomocji, a przyjeżdżali w komplecie niemal wszyscy mieszkańcy

sąsiednich wsi. W niektóre niedziele msze odprawiano również w Sierczu. W całej parafii był tylko jeden ksiądz, wspomniany Jan Myszka (1945-1957). Trafił do nas z obozu koncentracyjnego. Słuchano jego mądrych kazań, wygłaszanych zawsze z wielką ekspresją i zawsze z ambony. Ksiądz celebrował nabożeństwa, wzbogacając je wieloma dodatkowymi modlitwami. Msze trwały długo, czasem ponad 2 godziny.

Plebania mieściła się tuż przy świątyni, w starym rozszypującym się budynku, bez elementarnych wygód. Ksiądz proboszcz był człowiekiem skorym do kontaktów z ludźmi, chętnie przyjmował zaproszenia na wizyty do domów. Rozmawiając, zamaszycie gestykulował. Gdy podczas jednej z wizyt u nas wspomniął pobyt w obozie – nie wytrzymało solidne krzesło. To były bardzo ważne spotkania.

Ksiądz Jan Myszka został przeniesiony do domu dla emerytowanych kapłanów w Gdańsku. Jego następcą został ks. Jan Trela. Wcześniej, jako drugi kapłan, do parafii przybył ks. Józef Hajduk.

Organistą był muzyk z wykształcenia i jednocześnie stroiciel fortepianów. Wspomniałem już, że udzielał lekcji gry na pianinie. Żył niezwykle skromnie. Organy w kościele były niezawodne, ale gdy brakowało prądu, co zdarzało się bardzo często, wówczas, energię elektryczną zastępowano siłą nóg ministranckich. Gdy któryś z nich był zbyt słaby, z organów wychodziły „jąkające” dźwięki.

Grupa ministrantów liczyła kilkunastu chłopców. Należałem do ich grona, a ostatnie 2 lata w roli przewodniczącego (do 1950 r.). Zebrania ministrantów odbywały się na plebanii. Mieliśmy też swoją drużynę piłkarską, ćwiczyliśmy na placu za kościołem. Mecze natomiast rozgrywaliśmy na większym placu w sąsiedztwie i przy drodze do Miedzichowa. Często wygrywaliśmy. Ministranci mieli również przywilej organizowania grup kolędniczych. Czasem pojawiała się „konkurencja”. Skromne datki przeznaczano na zakup potrzebnych drobiazgów do posługi.

Jak wspominałem, pierwszy powojenny proboszcz był człowiekiem wielce skromnym, zadowalały go spartańskie warunki na ówczesnej plebani. Jego następcy, kilkanaście lat później wykazali się dużym rozmachem, fundując dom parafialny większy od świątyni. Od początku posługę w kościele sprawowały siostry ze zgromadzenia Misjonarek Marii; które miały swoją siedzibę w urokliwej kamienicy; przy ul. Armii Czerwonej. Tu odbywały się też lekcje religii.

6. Administracja

Ludzi z kwalifikacjami po wojnie było niewiele. Wysoko ceniono dużą maturą (przedwojenną), miała ją zaledwie kilkoro trzeciolan. Z tego też powodu, do pełnienia funkcji państwowych i urzędniczych powoływano osoby bez odpowiedniego przygotowania. Ludzie ci nie mieli doświadczenia w pracy administracyjnej. Generalnie obowiązywał porządek prawny z okresu przedwojennego, z elementami improwizacji lokalnej władzy.

Jednym z pierwszych urzędników magistrackich został mój Ojciec. W tym też czasie uzupełnił swoją edukację na poziomie klasy siódmej, jako dziecko (ur. 1904 r.) uczęszczał do pruskiej szkoły z niemieckim językiem nauczania. Magistrat znajdował się przy Nowym Rynku, pracowało w nim niewiele urzędników. W pierwszych miesiącach ich wynagrodzenie stanowił talon na chleb (jeden dziennie). Chodziłem z tymi talonami do prywatnej piekarni przy Nowym Rynku. Z czasem Ojciec awansował na przewodniczącego Miejskiej Rady (1952). Za jego kadencji na miejscu dawnego pałacu, wybudowano szkołę otoczoną pięknym parkiem. Nastąpiła również przeprowadzka Urzędu do budynku, w którym mieści się do chwili obecnej (ul. Armii Czerwonej). W „czasach niemieckich” znajdował się tam sąd, a na zapleczu były cele dla więźniów i aresztowanych. Napisy na ścianach dowodziły, że więziono w nich również Polaków.

W latach sześćdziesiątych już ludzie młodzi zostawali liderami i co ważniejsze – wykształceni. Ojca satysfakcjonowała praca w Gminnej Spółdzielni. Zmarł, będąc już na emeryturze.

6. Partie i organizacja

Moja wiedza na temat organizacji politycznych jest nader skromna. Od początku istniała Polska Partia Robotnicza, przekształcona w 1949 roku w PZPR. Komitet Gminny mieścił się przy Nowym Rynku, obok Urzędu. Nie była to partia ani liczna, ani szczególnie ideowa i myślę, że nie miała istotnego wpływu na zachowaniach trzecielskiej społeczności. Organizowała oficjalne celebracje święta 1 Maja, 22 Lipca itp., a także czyny społeczne, a te akurat służyły miastu. Okresem nasilonej aktywności partii był czas przed referendum, choćby „3 x Tak”. Towarzyszyła temu propaganda, zastraszanie ludzi

i kłamstwa. Na to nakładała się atmosfera „zimnej wojny”.

Partia bardzo zabiegała o pozyskiwanie członków. Naciskom był też poddawany mój Ojciec. Skutecznie. Przynależność w żadnej mierze nie wpłynęła na jego postawę i zachowania. Nie był wyjątkiem, przeciwnie kiepsko przedstawiała się ideowość znanych mi członków partii. W Trzcielcu i pewnie w większości tak małych ośrodków, panował według obecnego słownictwa – pragmatyzm, tolerowano chociażby uczestnictwo w praktykach religijnych, a zebrania wzywano po majowym nabożeństwie. W Boże Ciało dopóki zezwalano na procesje ulicami miast, to ołtarze w Trzcielcu były przy domach ludzi partyjnych, naszym również. Bez tolerancji dla takich postaw, partia byłaby nieliczna. Ludzi nie dziwiło, że w przykładowej rodzinie (czy tylko jednej w Trzcielcu?), „głowa” była członkiem partii, a „szyja” zaangażowaną ostentacyjnie parafianką.

Kiedy wiele lat później widziałem bezpardonowy, krzykliwy dogmatyzm w NRD i Czechosłowacji, znajdowałem potwierdzenie dla dowcipnego określenia Polski, jako „najweselszego baraku w obozie”. Jeszcze później, po wyjściu z kraju Rosjan, mogłem skonstatować, że istniała przepaść w pojmowaniu partyjności w tamtych państwach i u nas. Oczywiście bzdur i głupot popełnianych i tak było bez liku, również Trzcielcu. Pod patronatem PZPR odbywały się akademie „ku czci”, wygłaszano prostackie referaty warszawskich autorów, współzawodniczo „w czymś”. Jaki był efekt? Przecież nie miłość do „brata”. Czy z obecnych aliansów i sympatii do nowego „brata” nie będziemy się obśmiewać? Przecież każde następne pokolenie staje się mądrzejsze i w myśleniu bardziej samodzielne. Jednostka również. Młodzi publicyści, a jeszcze gorzej historycy, nie analizując uwarunkowań, piszą o komunizmie. Zwłaszcza w Trzcielcu, mija się to z prawdą i śmieszny. Tak jest w niejednym wydanym opracowaniu.

Poza „przewodnią siłą narodu”, czyli PPR-PZPR, innych organizacji było niewiele. Nie pamiętam, czy istniała partia chłopska, działało natomiast harcerstwo, ZBOWiD i Ochotnicza Straż Pożarna. Oprócz gaszenia pożarów, na szczęście niezbyt częstych, strażacy organizowali zabawy i festyny. Zdobywali na nich środki na zakup wyposażenia, uświetniali również swoją obecnością, w galowych mundurach, uroczystości świeckie i kościelne.

7. Zdrowie

Nowi trzcielanie tuż po wojnie nie mogli poszczycić się dobrą kondycją fizyczną. Mieli za sobą lata chłodu i głodu. Wielu odbyło długą wędrówkę. Do powszechności należała wszawica, świerzb i awitaminoza. W szkole „wlewano” w nas tran, a po salach nosła się woń szarej maści. Mieliśmy wszyscy kłopoty z higieną. Nie zapamiętałem ani jednego mieszkania z odpowiednią łazienką. Przecież nie było wodociągów ani kanalizacji. Po paru latach urządzone łaźnię miejską i to już stanowiło postęp. Ścieki komunalne zbierane były w szambach, w większości nieszczelnych i z ich opróżnianiem był problem.

Brakowało lekarza, była natomiast apteka na Nowy Rynek. Prowadziła ją pani Niesiołowska, która, przez wiele lat pełniła też nieformalnie rolę lekarza. Pomagała wielu ludziom, także mojej rodzinie. Niesiołowscy, po ks. J. Myszcze, byli najważniejszymi obywatelami miasta. Aptekarzowanie polegało wtedy na sporządzaniu leków, a nie sprzedawaniu gotowych medykamentów. Dopiero około połowy lat 50. uruchomiono izbę porodową, ośrodek zdrowia i przychodnię dentystyczną. Wydobywanie się z dna cywilizacyjnego trwało dosyć długo.

8. Środki komunikacji i informacji

Żyliśmy sprawami swoich rodzin, miasta i znanych nam mieszkańców okolicznych wiosek. Sprawy regionu i kraju nie budziły szczególnego zainteresowania. Panowało przekonanie, że polityką dla bezpieczeństwa lepiej się nie zajmować. Powszechnym pragnieniem był spokój i życzenie, by znów nie doszło do kolejnej wojny. W Europie i świecie działo się wiele złego, wiedzieliśmy o tym wszyscy, obawiając się o najbliższą przyszłość.

Skąpa wiedza i brak większego zainteresowania sprawami spoza swoich opłotków, uzasadniał brak informacji. Radia posiadali nieliczni. Słuchano, często z zaufanymi sąsiadami, Radia Wolna Europa, ale stamtąd wiadomości raczej wzmagały niepokój. Później po śmierci Stalina i za rządów Gomułki, słuchanie tej rozgłośni nie było już tak niebezpieczne.

Prawie wszyscy mieli dostęp do programu I Polskiego Radia, nadawanego przez „kotchoźniki”, czyli sieć miejską umieszczonych w domach głośników. Możliwość wyboru programu ograniczała się tylko do

pokręcenia gałki głośności. Ważną audycją była skrzynka poszukiwań PR nadawana codziennie. Słuchała jej też nasza ciocia, mając długo nadzieję, że z powstania ocaleli jej synowie i przebywają za granicą. Fakt ten ilustruje dramatyczne losy wojenne Polaków. Miałem to szczęście, że mieszkający po sąsiedzku Basińscy posiadali dobre radio i w niedzielę wystawiali je w oknie. Całymi godzinami słuchaliśmy czeskiej muzyki i południowych koncertów zespołu mandolinistów łódzianina Ciukszy.

Czytało się wówczas „Głos Wielkopolski”, mając świadomość, że informacje polityczne i społeczne są „przefiltrowane” przez cenzurę. Pierwszym tygodnikiem, który pojawił się w naszym domu była „Przyjaciółka”, prenumerowana przez mamę.

W latach 50. powstało kino. Seanse cieszyły się dużą frekwencją. Wyświetlano dobre i złe filmy, ważne były jednak kolejne wydania Kroniki Filmowej. Stanowiła ona najbardziej atrakcyjną formę przekazywania informacji. Obecność w kinie zbliżała do siebie mieszkańców. Nie bez znaczenia było położenie sali kinowa, tuż przy gospodzie.

Od początku miasto miało swojego herolda. Przekazywał ważne dla mieszkańców informacje i rozporządzenia władz lokalnych. W wyznaczonych miejscach ogłaszał swoje przybycie sporych rozmiarów dzwonkiem lub sygnałem trąbki. Gdy mieszkańcy wylegli przed domy, donośnym głosem czytał tekst komunikatu. Było to proste i niezłe funkcjonujące rozwiązanie.

9. Gospodarka

W czasie zasiedlania Trzciela przez Polaków, miejscowość nie była zniszczona przez wojnę i niezłe zagospodarowana. Stanowiliśmy społeczność bardzo biedną, „chudziutka” też była kasa miasta i pusta kasa państwa. Rodziny musiały zabiegać o zapewnienie sobie żywności. Wszechobecna była gospodarka samowystarczalna – ogród, własny drób i trzoda. Na szczęście ominęła nas po wojnie klęska głodu.

Przekleństwem tamtych czasów była zakodowana w świadomości tymczasowość. Fatalna atmosfera międzynarodowa sprawiała, że można było przewidywać kolejny konflikt na wielką skalę, do tego pamięć o dopiero zakończonej wojnie paraliżowała wszystkich. Mówiono o możliwości powrotu Niem-

ców i konieczności ucieczki. Gdzie mieliśmy wracać? Takie nastawienie powodowało, że w Trzcielu, przez wiele lat nie zbudowano żadnego domu. Przełom dokonał się dopiero na początku lat 70. Zaczęto stawiać domy, ale też dbać o swoje prywatne mienie. Inspiracją stały się również, możliwe już wizyty Niemców i nasze wojaże za granicę, na początek do NRD.

Przeciętny trzcielaniec nie był majątny, bo nie miał wielu szans na godziwe dochody. Do lepiej zarabiających należeli ci, którzy znaleźli pracę w sąsiednich miejscowościach. Tutejsze zakłady nie wyróżniały się nowoczesnością ani skalą produkcji, a tym bardziej wysokością płac. Dominowało proste przetwórstwo miejscowych surowców – drewna i wikliny. W tych branżach nie zarabiano się dobrze. Uzupełnieniem rodzinnych budżetów były małe działki rolne. Kilkaset rodzin miało takowe, od kilku arów do 0,5 hektara. Na nich uprawiano rośliny, w co drugim domu trzymano krowę, a jeszcze częściej trzodę. Wszyscy mieli drób. Z czasem skala tej miniprodukcji rolniczej malała. Rynek pracy nie wspomagało rolnictwo, nie dawało szansy na zatrudnienie, nawet do prac sezonowych. Rolnicy krezusami nie byli.

Wykorzystywano natomiast cenny potencjał przyrodniczy miasta i okolic. Latem zjeżdżali tu wczasowicze oraz młodzież i dzieci na kolonie. Na Obrze organizowano spływy kajakowe. Było gwarno i ludno. Na wysokich obrotach pracowali piekarze i inni producenci żywności. Bazę noclegową stanowiły głównie placówki szkolne, bez komfortu, ale wymagania wówczas nie były wysokie. Kolonie spełniały ważną rolę promocyjną tego regionu. Czy byli koloniści i ich wychowawcy wracali tu, będąc dorosłymi? Czy osiedlali się tu na stałe? Czy przykładem powrotów jest osiedle w Lutolu Mokrym?

Nasze miasto nie miało szczęścia do ludzi majątnych i przedsiębiorczych. Tartaki i plecionkarstwo wikliny nie mogły zdynamizować rozwoju. Młodzi, wykształceni znajdowali sobie miejsce gdzie indziej. To była ujemna strona naszych czasów!

Trzciel omijały wstrząsy społeczne i afery, a rządzący nie popadali w konflikty z mieszkańcami. Trzciel był spokojny – za spokojny. Lepiej w sprawach gospodarczych powiodło się w podobnych wielkością miastach – Babimoście, Kargowej. Dlaczego nie powiodło się nam?